

Józef Czechowicz
„Kamień”, Lublin 1927

Inwokacja

Liczę 22 piętra
liczę 22 lata
jest nas dwudziestu dwóch
Człowiek to transformator
a przecież można liczyć miesiące albo dni
ileż wtedy sobowtórów ma staruszka w pince-nez
nieskończony jest przemian ruch
Przez pince-nez widać w błękicie żonglowanie
z rzadka piłka upada na tenisowy kort
ręce ciągle zajęte planet podbijaniem
w pikowej bluzce córka komunisty
w jedwabnej koszuli lord
dysonansowy dystych
To nie jedno to zawsze to wszędzie
wielka wielość nieskończoność Cyfr
to co było to co jest to co będzie
w matematyce ma leitmotiv
Mam dopiero 22 lata
znam dopiero 22 piętra
znam zaledwie dwadzieścia dwoje warg
zapomniałem miliardy o swej dumie pamiętam
nieść się wysoko jak maszt wśród latarni
przez dni przez gwar przez targ

Pędem

Światło fosforyzujących drzew przepala kościane wieże
drgnęło i potoczył się po płytach samochodów potok
ulicę Złotą ośnieżył
kłębem bębniącym benzynowego dymu zabłąkitnił na złoto

W rozwiewaniu się welonów i grzyw
widać jasno że maszyna pieści
krajobrazy się rwą
lecieliśmy przez czarne mokre miasto
naraż błysło przedmieście
wachlarze kratkowanych niw

Chrzęści żywiol pszeniczny
każdy kłos inny
jednak na wszystkich polach starej ziemi
tysiącami się znajdują jednakowe
co rok takie same ma Reims i Przemyśl
a wszystkie złotogłowe

Jeden taki zasuszony w kajecie
przy innym kosą przecięty skonał zając
trzeci w brudnych rączkach trzymając
opowiadały mi dzieci
że za plecami skrzydła mają
(opalone ciała dziewcząt pachniały nad rzeką jak prerie)
teraz mknę bez skrzydeł na białym citroenie
wiatr klaszcze nad mym pędem jak w cyrku galerie
pszenicę pochyla nad ziemię

Jeden kłos dwa trzy kłosy
nieskończoności płowe włosy
giną rząd za rzędem
za moim i nieskończoności pędem

Koniec rewolucji

Marszczyła się ceglasta woda
przygnębiały ją domy ceglaste
żeglowała czarna łódź niepogoda
nad miastem

Dudnił deszcz o deseczki i deszczułki
na dziedzińcach tartaków zaśmieconych wilgotną trociną
na niebie było ciemno chmurno jak w zaułku
za niebem było sino

Mokro biły pomokłe sztandary
dymy zataczały się na bruku
spitym mglistorudawym pożarem
ględził z parkanów gruby druk
Z dalekiej drogi mlask błota
salwy drą zmierzch koło koszar
a przedmieściem

przesuwało się już w piosence gawrosza
w nieustannych mitraliez terkotach

Front

Ludzie w białych domach mówią to pole chwały
w niedziele chodzą do kościoła i na białe procesje
ulicami czystymi w słońcu przebiega pies biały
w białym kwitnącym parku Zakochana czyta poezje
Ale tutaj nie ma wcale białości
w szarej ziemi rowy pełne brudnych żołnierzy
dym siny i różowy przechodzi do nas przez rzekę
nie białe żółte są kości
armatniego ataku ognisty prąd
na niebie nieustannie leży
to front
to zstąpienie do piekieł

Odcinek 212 i wzgórze 105
we dnie szturmy i strzały
a w nocy przez dym przedzierają się reflektory
po drutach kolczastych biegają błyski żywe jak rtęć
wszystko ma wtedy inne kolory

Gdy cicho zbłąkana kula wślizgnie się w białe czoło
zniecka zrobi się białe (nawet na froncie)
biała niedziela biały park piesek biały
zatańczą wkoło

Pole chwały

Knajpa

Tłumnie mijały się auta
cętkowane kręgami lamp
wracano z rautu

Nagie ramiona w bransoletach pochylały się nad brukiem
równolegle poziomo i w ukos
z gestów dam
wynikało że chcą spędzić wieczór w gabinetach
pić wesoło i długo

Błysła zabawa

Nie było gwiazd
nie wiadomo było czy noc już schodzi
w czterech jedwabnych ścianach nic ma ulic miast
nikt nie przechodził

Głosy w pijaństwie gasły głąskały się coraz dalej
smukły pan całował ażurowe pantofelki
jedna para tańczyła
spadała komenda pij nalej
z ust panienki w sukience lila
gulgotały nad kieliszkami butelki

Nagle zaczęły się przesuwać kąty gabinetu
żeby nie upaść musieli usiąść
czarne nocne okno błędziło ze ściany na ścianę
kwadraty posadzki goniły za daleką metą
wydęte banie portier wirowały nad stołów oceanem

Usiedli usnęli
gabinet jak wagon pomknął ku świtowi
głowy pijane odrzucili w tył
żyły im nabrzmiewały krwią i alkoholem
a niemocy tych głów z gorączki żył
realizuje się fantom-Golem

Byłby może zmiażdżył tę gromadę
ale oto
w liryce dalekiego tanga
zaczął warczeć codzienny motor
zmieniło się niebo blade
w jaskrawy prześwielisty hangar

Śmierć

Za ścianą płaczą dzieci
Ona do mnie mówi
Oddycham lodowym kwieciami
nieznanych równin

A tam kołysanki
a tu chust poszum
nie ma nic gorętszego cichszego od jej głosu

Na próżno żyję myślę chodzę tylko przed Progiem
a gdy płynę przez miasto wieś
szumię lasami kawiarnią bezdrożem teatrem
to ona zawsze jest gdzieś
za ciszą nocną wiatrem

Zgłuszyć nie mogę

Nieruchome nad ulicą zachody
miedziane jak grosz
gwarzące syrenami samochody
mury fabryk w nieustannym tętnie
mądry pociągu bieg
krzyczą o życiu namiętnie
nie wierzą że jest brzeg

Ja chcę nie wierzyć i nie chce wierzyć mały poszarpany kruk
którego psy rozdarły
śmierć chodzi ona do mnie mówi szeptem gorącym
zdaje się że z obrazu złotego dna wychodzi Bóg
schyla się nade mną umarłym i krukiem zdychającym

Na rzęsach wstydliva łąza
widzę w niej świat gliniany jak skarbonka
nachodzi na mnie lodowa łąka
to już nie ja

I ciebie kuku nie ma
(może nikogo nie ma za złotym tłem)
zawiły schemat

Przemiany

Żyjesz i jesteś meteorem
lata całe tętni ciepła krew
rytmy wystukuje maleńki w piersiach motorek
od mózgu biegnie do ręki drucik nie nerw

Jak na mechanizm przystało
myśli masz ryte w metalu
krążą po dziwnych kółkach (nigdy nie wyjdą z tych kółek)
jesteś system mechanicznie doskonały
i nagle się coś zepsuło

Oto płaczesz
po kątach trudno znaleźć przeszły tydzień
linie proste falują — zamiast kwadratów romby
w każdym głosie słyhać w całym bezwstydzie
Ostatecznego Dnia trąby

Otworzyły się oczy niebieskie
widzą razem witrynę sklepową i Sąd
przenika się nawzajem tłum — archanioły i ludzie
chmurne morze faluje przez łąd
ulicami skroś tramwaje w poprzek
suną mgliste rydwany
pod mostami różowe błyskawice choć grudzień

Otworzyły się oczy niebieskie
widzisz siebie-marynarza w Azji
a zarazem 3-letniego 5-letniego chłopca
na warszawskim podwórku
i siebie przed maturą w gimnazjum
namnożyło się tych postaci stoją ogromnym tłumem
a wszystko to ty
nie możesz tego objąć szlifowanym w żelazie rozumem

Myśli proste falują światy zaćmiewa wichura
gdzie wiatr dmie — gasną latarnie
trąba w ciemności ponura
i wołasz

WŁADYKO PRZYGARNIJ

Otóż i jesteś umarły
w mechanizmie poruszają się kółka ale nie te
przez zepsucie się małej sprężynki
spadłeś piękny meteorze
na zupełnie inną planetę

na wsi

Siano pachnie snem
siano pachniało w dawnych snach
popołudnia wiejskie grzeją żytem
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach
życie - pola - złotolite

Wieczorem przez niebo pomost
wieczór i nieszpór
mleczne krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu

Nocami spod ramion krzyżów na rozdrogach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec

Księżyc idzie srebrne chusty prać
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać
Przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem

Piosenka ze łzami

Kołysanki

z dalekich okien zmarszczki blasków złotych
na ścianie
próżno tam dosięgać rączką
w dużej książce malowanki
zimowych dni narkotyk

Słowa z żalu

taka piosenka co się w niebo wsący
ja jednak wierzę
oddaję się wszystkim falom
niech mnie daleko niosą niech nikt nie stoi przy sterze
kołysanki takt ostatni się skończy
w straszliwych burz gwałtowności

Piosenko czemu mnie sprzedajesz

ze słów i pamiętania niemoc
był łańcuch — jam go nie rozciął
nie mogłem siebie przemóc

O niebie

Nie słycać już biegnących baranków
wilgotne obłoki poszły do innych poranków
z pustej hali nieba opada pył niebieski
filtruje się przez drutów przerwy i kreski
południe przysypuje się suche i szorstkie
nad sylwetkami aeroplanów i chłodem fabrycznych dzielnic
Warto śpiewać jego chwałę jest nasze i zamorskie
tak bardzo piękne gdy śmiga przez nie śmiały pion komina
cegielni
a razem
nad dalekimi lasami dzwoni błękitnym żelazem pierwotne i
olbrzymie
gdy stanąwszy u białego miasta napęlnia się dymem
gdy wie że jest dnia chlebem
warto śpiewać jego chwałę
Południe jest jasno jednakowe
południe wygina swą powałę opada kruszynami tynku
za dni dziecinnych wyginała mi się nad samą głowę
i wtedy szeptał do mnie stamtąd ktoś mój synku

Ampułki

Nad pogrzebem balkony chorągwie i trumna
w chmurze samolot
w porównaniu z człowiekiem który to zrozumiał
lokomotywa ekspresu — nie kolos
we wsiach młocarnie nie dziwią krów
piosnka kabaretu od płotu do płotu
jedyna rzeczywistość udręczeń ma coś ze snów
każdy nie wierzyć jest gotów
Reklama ryczy za reklamą
sygnał świeci do sygnału
z ostrych gwizdawek i kłębów pary wlotu
znać tempo życia wciąż to samo
mimo szybkości obrotów
kilkadziesiąt milionów łańcuchów
ciągnie świat pomału
wiadomo że nie ma prawieczystej jedni no i duchów
w niezliczone dla oka strony
rozpełza się życia proces
wszędzie miliony biliony tryliony straszliwe noce

Nory wilgną od płaczu nędzy
w kawiarniach małej mieścinie na froncie
tryska śmiechami literatura
w pałacu zielony stolik stosy pieniędzy

Gdybym to mógł zamącić
już bym był górą

Patrzcie
za zamkniętymi drzwiami
może naprawdę kolorowe drogi się pałą
dlaczegóż by wszystko co jest
nie mogło się zmienić wraz z nami
w świętość zapach ampułki Graala

We czterech

Rozwija się dróg gwiazdnych rulon
ziemia się toczy za Zwierzem
jak przetrwać noce cwałujące do bólu
dni fabrykę huczącą jak przeżyć

Na beton mlecznych szlaków się wzbąć
jednym pływackim rzutem ramion
i już stopy biegnące po łące nieba
trawę gwiazd łamią

Jest nas czterech na starcie
jest nas czterech na złotej linii komety
jest nas czterech (to ja jestem czwarty)
jest nas czterech celujących do mety

W przód!

Podrywają się grzbiety wygięte
głowy biegną rozkrzyczane przed ciałem
bieg smaga nagich jak prętem
gdzie radość gdzie żal

W locie
zdeptały wszechświat stopy nasze
w wichurze migających czerni i rozzłoczeń
w kurzawie
runęły groby i ołtarze

Tak ogromny jest lot ku sławie

Jest nas czterech rzuconych jak globy
jest nas czterech
jest nas czterech pijanych sobą
jest nas czterech

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad
gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie
niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra
winem przez wino na winie po niebie

A tam jak strzała z łuku bursztynowych chmur brzegiem
przelatuje lotem bez zmęczenia poeta Wacław
on na pewno w aksamitnym tygrysim biegu
piersi obłąkanych pędem nie roztrzaska

I Stanisław tętniący stopami jak we śnie
finisz biorąc z wysiłkiem nadmiernym zbyt ciężko
nie zawoła do siostry śmierci weź mnie
chyże nogi umkną umkną przed klęską

Winograd spokój chyżość
do nich to meta nadbiega nieznana
obłoki pod stopami jak na sznur się naniżą
piorun zwycięsko strzeli na tryumf jak granat

Biegnę biegnę jak życie człowiecze
razem witam i razem już żegnam
lot jakbyś rzucił mieczem
ale nie wiem
matko nie wiem czy dobiegnę

Więzień miłości

Kochankowie spotykają się nocą
w październiku spada z nieba dużo meteorów
niejeden już zagasł dymiący kaganek
odkąd Ona przemknęła staroświecką karocą
wśród tętniących warczących kolorów

Najpiękniejsza z niespodzianek
Błękitni spotkaliśmy się nocą
nie feeria czy alkohol
boży błękit
ale nawet bo i po co
nie uścisnęliśmy sobie ręki

Tak było napisane na 18 stronicy
głowa samobójcy leżała na otwartej księdze
w ustach jęk już niczyj
w dłoniach nie wiem ale pewno niewidzialne ręce
Błękitni spotykają się nocą
rozmowa w gwiazdach widzianych przez poezję

— Tęsknota Czekanie Nikt nie wezwie Czekam Tęsknota
Kocham Dalekość Ty Gwiazdy złocą Kocham
Czekanie pieszczot Nie marzeniem słowa twe szeleszczą

Błękit

Gdzie jest błękitem błękitno
Smagle ręce Pieszczota Zapalone oczy
Pod futrami Rozkosz Błyski Nagie ciało

(Nie tobą sny kwitną
dzieciństwo nie tobą pachniało
choć czekałem cze ka łem CZE KA ŁEM)

Błękitni spo
Wychodził z dancingu
Jej usta w usta położyły się ostro nagle
i był biały kwiat na czerni smokingu

A błękitny został wołał
rozpacz nocą na bagnie
O nie
erotyk nie może się skończyć rozpaczą
są tacy co czytają i płaczą
lepszy jest płacz z zazdrości
Nie ma ciszy
wiekiem prawiekiem niedzielą nocą wśród prac
wszędzie gonił mnie płomień miłości
pieniła się w girlandach elektrycznych lamp
gorzała jarkim ogniem w wszystkie dalekości
szrapnelami biła w kościół
wszystko moje jest tam

Marysia z Marylami Marie Mary z Marią

Strzelistymi aktami rozmodlonych rąk
piętrzyłem to upalne wiwarium
przy jednej życia zwrotnicy
pociąg pełen jak strąk

Chrupały miłość z jękiem skargi
czerwone czerwone czerwone wargi

Piersi nie po to są by wabić
lecz by się ciężkim ciałem dławić

Nogi płasające na łożu pijanem
muszą orgię przesunąć daleko za ranek

Mechanizm miłości dziwnym jest przyrządem
wszystkiego chce zaznać wszystkiego pożąda

Jem długo wilgotne usta są w moich wodnistym mięszem
włosy nie potem benzyną chyba pachną
pod biegnącym nóg i ramion gąszczem
od płomiennych spojrzeń czerwono i jasno
A TO NIE JEST MARZENIE BŁĘKITNYCH WIERSZY

Świat jednym miłości motorem
krzyk mój nad nim ulata
krzyk płomień płowy płodności gore
nie najlepszy nie ostatni nie pierwszy
jestem anteną drgającą tego świata

Upiorną codziennością świeci każda nagość
jak przez pajaca przez żywe ciało przewleczona nieć
nie ma tego w żadnym eposie
takich ksiąg nie wiezie znikąd wagon
że męczyć własną mękę to żyć

Dziewczątka zakonnice i dziwadła w mózgu
smutne damy w żałobie nietoperze o olbrzymich ustach
władacie mną ja władam wami
przede mną odkryte to co wam się z rąk wymyka
kopuła stalowa z gwoździemi gwiazdami
która może jest pusta
i strefa od pierwszego do setnego zwrotnika

Gwiżdżą syreny nienawiści
tętnią jeźdźcy tuż koło mnie
wbrew ziemi tu mi bezdomnie
a dalej w otchłani świeci czyściec
od rozpusty nierozum i wiara

od zgubienia poezji niepokój

ziemio duszo stara

1926 roku

Bunt uwiadł

w ramionach miłujących uwięziony mówię

mowa się rytmicznie tka

jeden wyraz drugiemu równien

WIECZNOŚCI CHCĘ

B B

E E

Z Z

D D

N N

A A